

Dziennik Borysa Kokenaja (1892–1967)

Czasem we śnie widzę

Głód w 1922 r. zmusił go do opuszczenia rodzinnych stron. Ale wracał do nich przy każdej okazji, próbując ocalić karaimskie dziedzictwo dawnego Krymu.

Kale...

Środa 24 września 1930 r. od narodzin Chrystusa. 1 tiszri 5691 r. od stworzenia świata.

„Wszystko ma swój czas” – powiedział najmądrzejszy z ludzi.¹ Jak widać, i dla mnie przysła pora chwycić za pióro. Od dawna zbierałem się zacząć pisać dziennik, nie po to, oczywiście, by spisać własną biografię, bo cóż może być interesującego w życiu jednego człowieka, na dodatek żonatego? Będąc kawalerem, człowiek przenosi się stale z miejsca na miejsce i zmieniając oblicze ziemi, spotyka się także z nowymi ludźmi. A przecież każdy nowy człowiek to nowa księga. Są tacy jak książki, których można nie czytać, zapoznać się jedynie z pierwszymi stronami, ale są też tacy, u których znajdziesz wiele interesującego, podobni do książek, które czyta się z chęcią i z korzyścią, którymi można się zaczytywać. Sięgnąłem więc po pióro, by przekazać przyszłym pokoleniom to, co odchodzi w przeszłość naszego narodu karaimskiego i związane z tym spotkania z ludźmi oraz wrażenia z miejsc, które odwiedziłem.

Żyjemy na przełomie dwóch epok, gdy sposób życia szybko zmienia się na całym świecie, a szczególnie u nas, w Rosji. My, Karaimi, także podlegamy wpływom tych dwóch epok, a ludzi, którzy dobrze znają własne dzieje, obyczaje, język, literaturę itp. zostało w moim pokoleniu bardzo niewiele. Dlatego uznawszy siebie za jednego z nielicznych Mohikanów, poczułem się w obowiązku przekazać przyszłym pokoleniom to, co wiem o przeszłości naszego narodu. Nasi przodkowie, którzy pozostawili po sobie bogate dziedzictwo literackie, bardzo niewiele uwagi poświęcali dyscyplinom historycznym, dlatego do chwili obecnej nie mamy wystarczająco kompletnych danych o historii Karaimów. Zdaje sobie sprawę, że mój dziennik w żadnym wypadku nie jest w stanie uzupełnić tego braku, pomoże jednak w pewnym stopniu naświetlić naszą epokę przyszłym historykom. (...)

W moim dzienniku nie zamierzam spisywać szczególnego historycznego traktatu, lecz w codziennych zapiskach przedstawić w związku z kwestiami dotyczącymi dnia dzisiejszego także zagadnienia historyczne. W ten sposób zagadnienia te i ich objaśnienia, gromadząc się z biegiem czasu w dzienniku, staną się, być może, świadectwem dla przyszłych pokoleń, mogącym wzbudzić zainteresowanie przyszłego historyka.

W dzisiejszych czasach, gdy przyszło nam żyć w kolejnych kryzysach, dzięki wyteżonemu tempu budowy socjalizmu niemożliwym się stało zdobycie nawet zeszytu, w którym można byłoby spisywać swe myśli, lecz w tym względzie pomógł mi M[ojsej] I[sajewicz] Pilecki.

Po śmierci swego jedynego syna, Michaila, inżyniera, zmarłego w 23. roku życia (wskutek przeziębienia, jakiego nabawił się w czasie służby wojskowej), przejrawszy książki nieboszczyka, Pilecki podarował mi kilka tomów oraz ten zeszyt, dzięki czemu mogę prowadzić dziennik.² (...)



Mój Ojciec, Jakow ben Mordechaj ben Baruch Kokenaj zmarł 23 VIII 1897 r., urodził się w 1835 r. w Kale (Kyrk-Jer). Był wnukiem uczonego hachama Izaaka ben Szełomo Jel Dura³. Dorósłszy, zaczął zajmować się nauczaniem w midraszu w Bachczysaraju, a następnie wykładał religię karaimską w Teodozji w midraszu i prowadził lekcje w rosyjskim gimnazjum dla uczniów-Karaimów. W Teodozji zmarł (byłem wówczas kilkulatkiem) i został pochowany. W naszym domu wciąż były żywe opowieści o życiu w Kale. Po pierwsze, ojciec pochodził z Kale, po drugie, mieszkała z nami także matka ojca, córka Izaaka ben Szełomo Jel Dura, autora dzieł *Or ha-lewana* i *Pinnat ikrat*. Dobrze znała ona czasy, gdy nasi przodkowie żyli w Kyrk-Jer. Ponieważ jednak słabo pamiętam ojca i babcie, osoba, która spowodowała



u mnie zainteresowanie Kale, była moja matka, która opowiadała mi o tym mieście. Sama często tam bywała i w roku 1878 mieszkała tam z ojcem, gdy ten został wezwany przez Panpułowa⁴, by pomóc w wykopaliskach profesora D. Chwolsona⁵, autora prac naukowych o Kale, o wyprawach A. Firkowicza. (...)

Pierwsze moje spotkanie z Kale miało miejsce, gdy byłem w drugiej klasie gimnazjum. Zebrawszy 15 rubli, pojechałem z dwoma kolegami z Teodozji do Bachczysaraju. Wrażenie było ogromne i do dnia dzisiejszego pozostałem jednym z wiernych czcicieli tego starożytnego gniazda krymskich Karaimów. W kolejnych latach starałem się wykorzystać każdą okazję, by przebywać w Kale, gdzie w domu błogosławionej pamięci Abrama Siemionowicza Dubińskiego, strażnika i hazzana, stałem się wręcz domownikiem. W roku 1918, wolny od służby wojskowej (zwolniono mnie w maju 1917 r. po rewolucji lutowej), zacząłem pracować w Kale wraz z trzema synami Dubińskiego. Niestety, ten rok okazał się wyjątkowo suchy i wszystko, co posialiśmy, zostało w ziemi. Los nie sprzyjał naszym wysiłkom i nasza kolonia się rozpadła. Tym nie mniej stale bywałem w Kale, a przeprowadziwszy się w roku 1922, w roku głodu, do Rostowa, utrzymywałem więź z mieszkańcami Kyrk-Jer i koresponduję z nimi po dziś dzień.

Widok bliski sercu każdego Karaima: kienesy w Kale, najstarsze we wschodniej Europie.

Nim przytoczę kilka zasłyszanych przez mnie opowieści o Kale, chcę wspomnieć o rodowodzie mojej matki, który jest dość interesujący. Moja miłość i zainteresowanie nauką, przeszłością, własnym narodem i jego dziejami ukształtowała moja matka, która znała nie tylko pismo, lecz także język hebrajski, co więcej, sama pisała w codziennej mowie wiersze i elegie na różne okazje. Do dziś pamiętam odmawianą przez nią krótką modlitwę, którą sama ułożyła.

Zmarła 14 kwietnia 1926 r. o godzinie 6 rano w Rostowie nad Donem i została pochowana na karaimskim cmentarzu. (...)

Moja matka, Bijim córka Jakowa Sofer była 15. pokoleniem [drzewa genealogicznego jej rodziny], ja – 16., a mój syn, Jakow – 17., co oznacza, że od pierwszego zapisanego tu⁶ przodka dzieli nas jakieś pięćset lat. Potomkowie rodu w linii męskiej, czyli rodzina mego wuja, Ilii Jakowlewicza Sofera w osobach jego synów, Jakowa i Salomona, mieszka obecnie w Kerczu.

Za moich dni było mi dane spotkać nieżyjących już dziś dwóch stałych mieszkańców Kale, braci Jakowa-akę i Josefa-akę Pigitów (zwano ich także Sofu), którzy mieszkali tam jeszcze w czasach, gdy w Kale znajdowała się karaimska społeczność. Gdy przyjechałem po raz pierwszy, Josef-aka poczęstował mnie serem z mleka własnych krów (mieli ich z dziesięć).

Z jego słów wynikało, że był uczniem mojego ojca. Spotkałem w Kale także starszka Burcze z Jekaterynosławia, który przyjechał do Bachczysaraju, gdy jego syn szedł do wojska w roku 1913 (...) Starzec ów urodził się i spędził młodość w Kale.

Co roku latem z różnych regionów Rosji przyjeżdżało mnóstwo ludzi, by obejrzeć ruiny Kale – wśród nich nie brakowało interesujących ludzi. Niektórzy Karaimi spędzali w Kale lato, a na *Kippur-orucz* w kienesie zbierało się 30, 40, 50 osób, by pościć w siedzibie swoich przodków i modlić się w starodawnej świątyni. Modły tego dnia prowadził ribbi Samuil Osipowicz Szyszman, który z gościnnością zapewniał przybyłym zakwaterowanie i wyżywienie.

Co roku przyjeżdżała do Kale rodzina Abrahama Kefeli z Symferopola. Jego żona, nieboszczka Sterta⁷, opowiedziała mi kiedyś następującą historię:

Gdy przejść od kienesy główną ulicą 30–40 kroków na wschód, po prawej stronie znaleźć można bramę, obecnie zatarasowaną kamieniami. Brama ta stanowi pamiątkę pewnego wydarzenia związanego z postacią rozbójnika Alima, krymskiego bohatera ludowego. Pew-

nego razu w dzień Kippur Alim zakradł się do Kale i ukrył w jakiejś pieczarze. Tego dnia wszyscy karaimscy mężczyźni modlili się w kienesie, dlatego dziewczęta chodziły po ulicach miasta z odsłoniętymi twarzami, bez obawy, że napotkają mężczyznę. Niezauważony przez nikogo Alim obserwował dziewczyny. Jedna z nich, córka bogatych rodziców Babowiczów, bardzo mu przypadła do gustu i postanowił przemocą zabrać ją ze sobą. Gdy nastał zmrok, Alim zastukał do drzwi domu, gdzie mieszkała córka Babowiczów i zażądał wydania mu dziewczyny, która mu się spodobała (*uzun karasaczli guzel kyz* 'piękna dziewczyna o długich, czarnych włosach'). Kobiety, które zostały w domu, chcąc zyskać na czasie, dopóki mężczyźni nie wrócą z kienesy, mówiły mu, że takiej dziewczyny tu nie ma. Jednocześnie wyprowadzono ślicznotkę do sąsiadów przez małe drzwi w murze otaczającym dziedziniec domu, tak zwane *konszu-kapu* ('sąsiedzkie drzwi'), które łączyły wszystkie podwórka w Kale. Te *konszu-kapu* budowano w tym celu, by w niespokojnych czasach w razie niebezpieczeństwa ludzie mogli uciec do sąsiadów; takie drzwi wysokości połowy wzrostu człowieka łatwo można było zastawić kamieniami. Alim usłyszawszy odgłos kroków zbliżających się mężczyzn, którzy wracali z kienesy, zdołał uciec do *Kiczik-kapu* (Małej Bramy). W owych czasach jednak i przy Małej, i przy Dużej Bramie dniem i nocą czuwali strażnicy-odźwierni, czyli tak zwani *kapudżilar* (współcześni Erinczekowie to potomkowie owych *kapudżilar*, odźwiernych z Kale). Wtedy strażnikiem był człowiek niewielkiego wzrostu, lecz mocnej budowy ciała, zwany *Kapudzi* Jusuf-aka. Zobaczył biegnącego Alima i pomny, że nikogo takiego nie wpuszczał, zatrzymał młodzieńca. Oświadczył, że go nie przepuści, dopóki nie sprawdzi, w jaki sposób ten się znalazł w Kale i dlaczego tak pośpiesznie chce je opuścić. Alim poradził Jusufowi, by się mu nie sprzeciwiał i przepuścił go z dobrej woli, zanim coś złego się stanie. Słowa te nie zrobiły na strażniku wrażenia, zamknął bramę i nie wypuszczał rozbójnika. Wtedy Alim chwycił nóż, który miał przytroczony do pasa i powiedział: „Puszczaj, Jusufie, bo jeśli nie, to ostrze to wbije się w twoje serce!”. Nie zdążył dokończyć swych słów, jak stary Jusuf ścisnął w swojej ręce niczym w kleszczach dłoń Alima z nożem. A mieszkańcy Kale byli już na górnym placu powyżej bramy. Alim z całej siły wyszarpał rękę z uścisku, odcinając cztery palce z dłoni *kapudżiego*. Krzyknął stary Jusuf z bólu i zalawczy się krwią, upadł na ostre kamienie



Fot. Archiwum ZKP

Grupa tatarskich muzykantów przy Małej Bramie w Kale, gdzie miał stracić palce nieugięty *kapudzi* Jusuf-aka. Poczłówka z końca XIX w.



Konstanty Bogajewski,
Baszta Konsula w Sudaku,
1903 r.

Kale... Alim otworzył sobie bramę i tyle go widziano. Gdy ludzie wybiegli za bramę, po rozbojniku nie było ani widu, ani słyhu, wszak Alim był nieuchwytny jak wiatr w polu. Jusuf-aka od tej pory zyskał przydomek *Parmaksyz*, czyli *Bezpalcy*.

Oto jedna z historii, które usłyszałem w Kale w czerwcu 1918 roku z ust staruszki Ester-tota Kefeli, która osobiście znała *Bezpalcego Jusufa-akę*.

Wspomniałem wyżej, że *kapudzi* był „niewielkiego wzrostu, lecz mocnej budowy ciała”. Zazwyczaj funkcję tę pełnili zdrowi i silni mężczyźni. Jeden z potomków owych *kapudzi*, Izaak Mojsejewicz Kapudzi opowiadał mi o swoim pochodzeniu. Według jego słów, przodkowie jego byli odźwiernymi przy Średniej Bramie także w czasach, gdy brama ta była już zniszczona, lecz zgodnie z tradycją wszyscy, nawet chanowie, przechodząc przez jej resztki, nadal prosili ich o pozwolenie. Izaak Mojsejewicz mówił, że wszyscy *kapudzi* byli ludźmi zdrowymi. I on sam też taki był: wysoki i krzepki. Te cechy opisuje powiedzenie: „Uważaj, by nie trafić pod pieść *kapudziego*”.



18 stycznia 1931 r. Niedziela. Czasem we śnie widzę Kale, ale nie to zwyczajne, lecz jakieś inne. Być może Kale wyglądało tak w dawnych

czasach. Bardzo bliskie moim wyobrażeniom dawnego, a raczej poprzedniego Krymu, są obrazy malarza Bogajewskiego⁸. Czasem śni mi się ten inny Krym, zupełnie niepodobny do dzisiejszego, starożytne uliczki, wiekowe domki, architektura, której już nie ma, i czuję się tak niezwykle, że we śnie boję się obudzić, i oczywiście, właśnie wtedy się budzę. Kiedyś przyśnił mi się Szachin Girej, ostatni krymski chan, jak szedł główną ulicą *Bachczysaraju* i żegnał się z poddanymi. Był boso, a ludzie od czasu do czasu podchodzili do niego, by się z nim pożegnać. Także dziś ujrzałem niezwykle Krym i niezwykle Kale. Na początku widzę siebie na kamienistej drodze prowadzącej do miasta i wypełnia mnie radość, że dopiero co wczoraj marzyłem o Kale, a dziś to marzenie się spełniło. Czuję się wprost fantastycznie. Potem droga okazuje się znajdować gdzieś w górach (na płaskowyżu), a przede mną w odległości wiorsty wznoszą się stromo zbocza całe pokryte lasem. Słychać, jak skrzypią koła arb na leśnych drogach, choć ani dróg, ani koni nie widać. Upajam się tym jasnym, słonecznym, ciepłym dniem, odgłosem kół, który w ciszy południa brzmi dla moich uszu niczym muzyka. Myślę sobie, że to jest sen, nie rzeczywistość, ale myślę też: a niechby to był i sen, cieszę się z takiego snu. Padam na kolana, płaczę ze szczęścia i całuję ziemię mojego ojczymskiego Krymu. W tym momencie przypomina mi

się zdanie z relacji naocznego świadka wyjazdu Tatarów z Krymu (ostatni taki ich wyjazd do Turcji w latach tysiąc dziewięćsetnych sam pamiętam): „Oni szli, całowali rodzimą ziemię i znów szli”, i myślę sobie, że oni także kochali swoją ojczyznę, i zaczynam rozumieć, jak ciężko im było rozstać się z Krymem. Budzę się, uświadomiwszy sobie, że to sen, że tak dobrze w rzeczywistym życiu nie bywa, i rzeczywiście, obraz zaczyna blaknąć; świadomość, że śpię na *set* (tapczanie) zwycięża i budzę się, czując, że poduszkę mam mokrą od łez.

■■■■

4 lutego 1931 r., środa. Gdy wyjeżdżałem z Krymu w początkach głodowego roku 1922 (10 lutego), nie przypuszczałem, że na tak długo zostanę w Rostowie nad Donem. Ale jak to mówią, człowiek planuje, a decyduje kto inny. Ze względu na trudną sytuację żywnościową, nie zdecydowałem się przyjąć odpowiedzialności za przeprowadzenie się [z powrotem] z rodziną na Krym, zwłaszcza, że zaopatrzenie na półwyspie jest z każdym rokiem gorsze. Mimo to moja troska o Krym nie słabnie, bo tylko tam mógłbym wykorzystać swoją wiedzę dla dobra kraju. Codziennie wracając doń myślę, widzę we śnie i na jawie mój Krym: stepowy, górski oraz przedgórze z jego przyrodą i ludźmi. Niedaleko od Teodozji leży miasteczko Koktebel, gdzie często bywałem, a nawet spędziłem jedno lato. Tam na brzegu morza nauczyciele, duchowni, pisarze i poeci wznosili sobie dace, gdzie z dala

od drogich kurortów mogli odpoczywać na łonie przyrody. Widywałem tam wielu znanych literatów, na przykład Aleksego Tołstoja, Ilię Erenburga, Maksymiliana Wołoszyna, poetę Mandelstama i innych. Niektórych z nich poznałem osobiście. Wspominając teraz Krym, chciałbym opisać ten jego zakątek, który w mojej pamięci zachował się opromieniony jasnym światłem południowego słońca. Słońcem było przesycone wszystko – i góry, i morze, i zatoka, i brzeg, wille i ludzie. Nawet powietrze, którymi oddychali, było pełne słońca i choć może się to wydać paradoksalne, również pachniało słońcem. Połężne morze, senne, jakby pogrążone w słonecznej drzemce, wydawało się niemal niezauważalnie oddychać, nasyciwszy się błękitem bezkresnych niebios. A w zatoce z dwóch stron okolonej górami niczym w lustrze odbijały się wzniesienia i skaliste szczyty. Tafla wody lśniła jak szkło. Na brzegu, na złotym piasku leżały, stały, poruszały się nagie ludzkie ciała. Przyjezdni z odległej północy, z wielkich, gwarnych miast, uciekający ku słońcu, morzu, ku górom bajkowego południowego wybrzeża Krymu, byle dalej od wielkomijskiego zgiełku, mgieł, zimna, pochmurnego nieba i anemicznego słońca północy. Pijani od gorących pocałunków słońca, upojeni powietrzem, bezkresną głębią nieba i niezmierną przestrzenią wody, półdrzemiac, wsłuchiwali się w leniwy plusk ospale rozlewającego się morza. Choćby nie wiem jak spokojna była jego lustrzana powierzchnia, przy brzegu nieustannie snuło opowieści niemilknącą paplaniną gonących jedna drugą fal. Ich białe, przypominające runo baranka grzbiety sięgająca w dal wstęgą wyznaczały linię brzegu. Drobne fale po kolei leniwie wzbierały, toczyły kamyczki, rozpryskiwały się na brzegu, przynosząc w darze leżącym na brzegu kolorowe otoczaki. Zaokrąglone kamyczki mieniające się kolorami otaczającej przyrody, słońca, nieba, morza i gór, błyszcząły i kusily swym trudnym do opisanania, naiwnym urokiem.

I ludzie z niezwykłą pasją, graniczącą niemal z manią, całe godziny spędzali na gorącym piasku i zbierali te pamiątki z bajkowego południa. Zdarzały się kamyczki białe, o barwie lilii, barwie niewinności, tak jasne, że światło prześwitywało przez nie niczym przez szkło. I były też czarne jak gęsty mrok nocy na południu. Ale najwięcej było tych, które łączyły w sobie wszystkie kolory: czerwień, biel, czerni, błękit, zieleni... A morze swoich wybrańców obdarzało nawet kamieniami szlachetnymi. Można tu było znaleźć różowe niczym ciało młodej piękności odłamki karneolu, błękitny jak poranne niebo

Borys Kokenaj korzystał z każdej okazji, by odwiedzić ukochany Krym i miejsca związane z Karaimami. Od lewej: B. M. Kokenaj, D. M. Gumusz, S. I. Kuszul, kierowca, A. S. Lewi-Babowicz, M. I. Sinani. Mangup Kale, 1961 r.



Fot. Archiwum ZKP



Widok na ruiny Kale uwieczniony na pocztówce z przełomu XIX i XX w.

Fot. Archiwum ZKP

chalcedon, dwubarwny jaspis: zielony jak morze i czerwony jak słońce. Przyroda niczym rozrzucona kurtyzana nie zwracająca uwagi, ile co kosztuje, szczerze obdarowywała ludzi swymi wdziękami, cieszyła ich wzrok wszystkimi kolorami tęczy, koła duszę bezkresem morza, a ciała obsypywała pocałunkami tak gorącymi, że oszołomieni chodzili jak pijani. Nad wszystkim tym królował starożytny bóg Pan. To jemu służyli słońce i morze. Gdy znużona słoneczna tarcza powoli udawała się na spoczynek za górami, nagle zalegał nieprzenikniony mrok południowej nocy i Pan przechadzał się po ziemi, po miękkim nadbrzeżnym piasku, po trawach gór i pagórków, po ogrodach i daczach, poszukując swych wyznawców. W nocnych ciemnościach rozlegały się odgłosy oddawania czci temu prastaremu, wiecznie młodemu bóstwu w wielkiej świątyni Natury.

Minęły lata i na Krym jak niegdyś przyjeżdżają ludzie, odzyskują tu siły i jak niegdyś zachwycają się jego pięknem. Lecz ten, kto go znał dawniej, widzi, że Krym umiera, że nie ma tu już jego ludzi o łagodnym jak klimat Półwyspu charakterze. Ponownie przebywałem tu w roku 1927 i w 1928. I moje pierwsze wrażenie było straszne. Ludzie snuli się jak cienie, wybici z normalnego rytmu życia, a jedyną rzeczą, o jakiej myśleli, był kawałek chleba, który zdobywano w kolosalnym trudzie. Całe siedliska w Teodozji, takie jak tatarskie czy karaimskie, leżały w gruzach. Gospodarze tych starych domów zmarli w roku głodu, a budynki rozebrano na opał i teraz całe kwartały straszą ruinami. Odwiedziłem też prastarą karaimską

świątynię (liczącą sobie już dziewięć wieków), gdzie pięć, sześć osób jeszcze schodzi się rano i wieczorem na modlitwę. Trudno na to patrzeć, zwłaszcza komuś, kto widział, jak dawnej kipiało tu życie.⁸ Karaimi i Tatarzy najbardziej ucierpieli wskutek głodu i wojny domowej. Przed wojną na Krymie mieszkało w przybliżeniu dziesięć tysięcy Karaimów (w całej Rosji trzynaście tysięcy). Teraz według danych z ostatniego spisu, przeprowadzonego już po głodzie, zostało ich jedynie 4,5 tysiąca.

Borys Kokenaj

Wybór i przekład z języka rosyjskiego
Anna Sulimowicz na podstawie Kokenaj Boris
Ákovlevič. Vospominaniâ. Rostov-na-Donu,
opr. O. M. Ajvaz, A. A. Babadžan, I. A. Babadžan.
Symferopol 2013.

Przypisy:

- ¹ Za autora tych słów z księgi Koheleta (3.1) uważany jest Salomon.
- ² Ten akapit i poprzedzający, podobnie jak i inne, mogące zostać uznane za krytykę ZSRR, zostały pominięte w przesłanym S. Szapszałowi maszynopisie, przechowywanym obecnie w Bibliotece Wróblewskich Litewskiej Akademii Nauk w Wilnie.
- ³ Izaak ben Szelomo (1755–1823), przywódca duchowy Karaimów z Kale, autor dzieł dotyczących kalendarza i zasad wiary; parał się także medycyną.
- ⁴ Samuil Moisiejewicz Panpułow (1831–1911), od 1879 r. hacham taurydcki.
- ⁵ Daniel Abramowicz Chwolson (1819–1911), rosyjski orientalista, semitolog i hebraista. W swych badaniach wykazał, że datowanie nagrobków dokonane przez A. Firkowicza było w znacznej części prawidłowe.
- ⁶ Chodzi o modlitewnik, w którym zapisano genealogię rodziny Sofer.
- ⁷ Estera, matka Josifa Kefelego (1900–1976), muzyka ludowego i zbieraczka karaimskiego folkloru. Por. A. Sulimowicz, *A record of living Karaim folklore in 1960s Crimea. The copybooks of Yosif Kefeli*, „Almanach Karaimski” 2016, t. 5, s. 160.
- ⁸ Konstanty Bogajewski (1872–1943), rosyjski malarz żyjący i tworzący w Teodozji, znany z symbolistycznych kompozycji i pejzaży.
- ⁹ Fragment od słów „Lecz ten...” pominięty w maszynopisie znajdującym się w Wilnie.